№ 41. Warszawa, dnia 9 (21) Maja 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

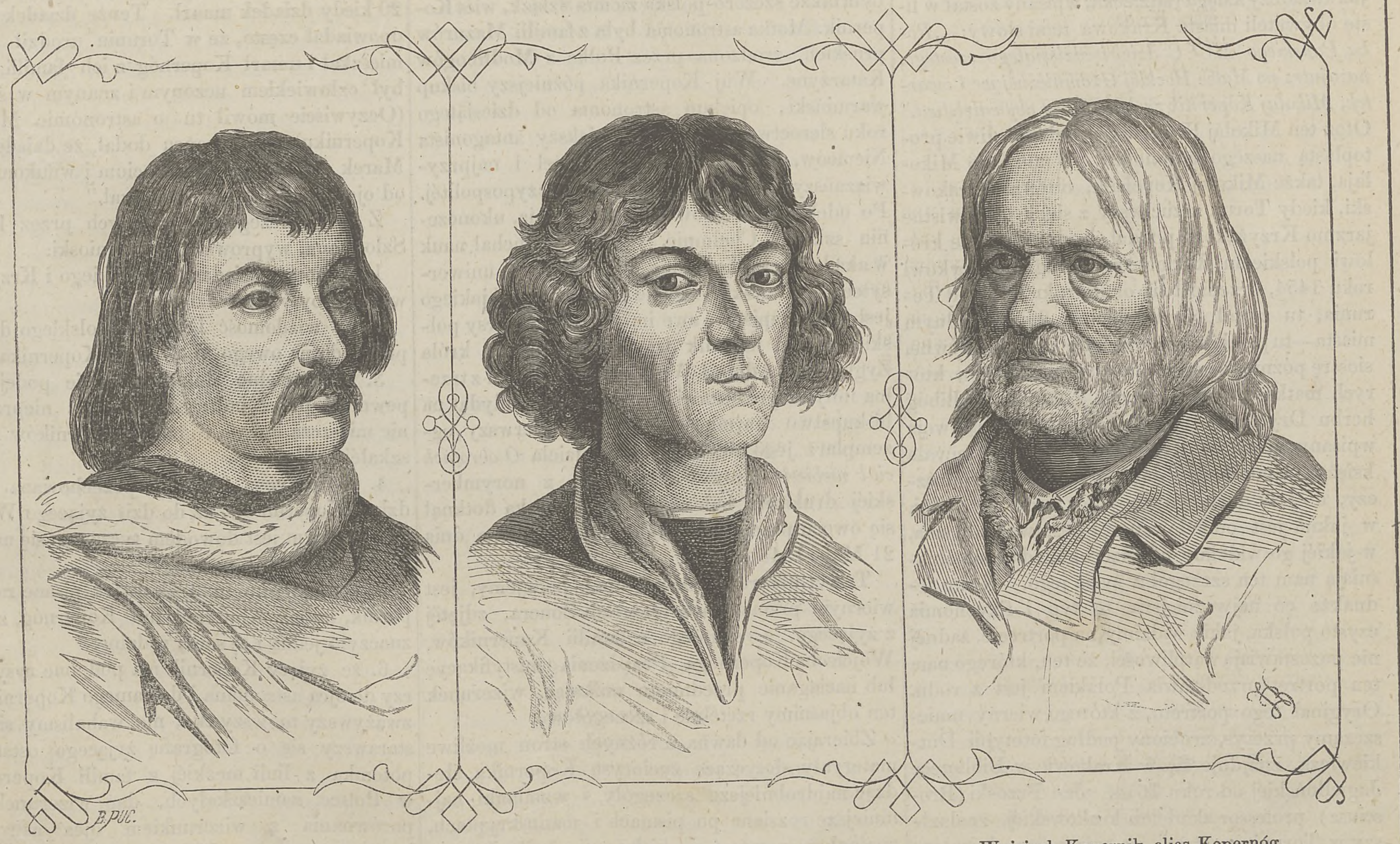
PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.
Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskieg kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 7½.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.



Mikołaj Kopernik ojciec astronoma.

Mikołaj Kopernik astronom.

Wojciech Kopernik alias Kopernóg.

KOPERNIKOWIE.

Mikołaj ojciec astronoma, Mikołaj astronom i Wojciech Kopernik alias Kopernóg z Łaskowic pod Pabianicami.

Przy zbliżającym się czterechsetnym jubileuszu urodzin Mikołaja Kopernika, który w roku przyszłym dnia 19 Lutego obchodzony będzie publikacyą naukową, to jest ogłoszeniem obszernego i źródłowego życiorysu, pysznego album pamiątkowego złożonego z 15 tablic i odpowiedniego medalu i z okazyi przypadającéj w dniu dzisiejszym rocznicy śmierci wielkiego astronoma, — poczytujemy sobie za miły obowiązek, dać szanownym czytelnikom „Wieńca" wizerunek ziomka naszego, twórcy astronomii dzisiejszéj, Mikołaja Kopernika, do którego dołączamy wizerunek ojca jego, i żyjącego dziś we wsi Łaskowice niedaleko Pabianic ostatniego potomka Koperników, Wojciecha Kopernika alias Kopernoga. O każdym z tych trzech wizerunków krótkie powiemy słówko.

Na Szlązku, w dawnéj ziemi polskiéj, za panowania książąt z rodu Piastów, w XIII wieku założona została osada—wieś kościelna—Kopernik, leżąca w księztwie Grotkowskiém na południe od miasta Nissy. W dokumentach urzędowych zebranych przez Stencla wieś ta wspominana jest w r. 1272, 1284 i następnych. Do roku 1731 nazwisko téj wsi było nie zmienione, jak to czytamy w wielkim Atlasie Wielanda; ale krótko potém przezwali Niemcy tę miejscowość Köppernig i tak się dziś zowie. W końcu XIV wieku jeden z mieszkańców téj wsi Mikołaj z Kopernika przesiedlił się do Krakowa, i tu w r. 1396, jak świadczy księga radziecka, wpisany został w listę obywateli miasta Krakowa temi słowy: „*Roku Pańskiego MCCC dziewięćdziesiątego szóstego, nazajutrz po Matce Bozkiéj Gromnicznéj we Czwartek, Mikołaj Kopernik zyskał prawo obywatelstwa.*" Otóż ten Mikołaj Kopernik był niewątpliwie protoplastą naszego astronoma. Wnuk tego Mikołaja, także Mikołaj Kopernik, obywatel krakowski, kiedy Toruń zrzuciwszy z siebie nienawistne jarzmo Krzyżaków, poddał się dobrowolnie królowi polskiemu Kazimierzowi Jagiellończykowi roku 1454, przeniósł się około roku 1458 do Torunia, tu został obywatelem, a potém radnym miasta—tu pojął za żonę Barbarę Watzelrodównę, siostrę późniejszego biskupa warmińskiego, któryh matka była Katarzyna z domu Modlibóg herbu Drya. W 1469 roku pospołu z żoną swoją wpisany został w Krakowie przez prowincyała księży Dominikanów Jakóba Zarębę z Bygdoszczy, do łask duchownych jako tercyarz. Strój, w jakim jest odmalowany, i postawa pobożna, w jakiéj go widzimy na wizerunku, zdaje się objaśniają nam ten szczegół z życia jego. Nadto jednakże co najważniejsza, to typ i fizyonomia czysto polska, jakie widzimy na portrecie, żadnéj nie pozostawiają wątpliwości, że ten, którego nam ten portret przedstawia Polakiem jest z rodu. Oryginał tego portretu, z którego wierny umieszczamy przerys, zrobiony podług fototypii Dutkiewicza, znajduje się w Krakowie w Bibliotece Jagiellońskiéj od roku 1614. Jan Brzoski (Brosciusz) professor akademii krakowskiéj, znalazłszy w Toruniu portret ojca astronoma, kazał go przemalować jakiemuś toruńskiemu malarzowi, tam na miejscu w Toruniu, i podarował takowy bibliotece, jak to napis opiewa: „Joannes Brosciusz Curzeloviensis depingi curavit Torunii atque hic reposuit". Że to zaś istotnie jest portret ojca astronoma, mamy dowód w napisie: „Nicolaus Copernicus Pater Nicolai Copernici Astrologiae unius miraculi nati 1473 19 Februarii,"—i w drugim niemieckim: „Des Herren Docter Nicolae Coppernick, Thumher und Astronimus zur Frauenburg seines seligen Vaters, auch Nicolaus Copnick genant, seine Gesstallt". Cztery herby zamieszczone w rogach portretu są: herb Watzelrod, rodziny Watzelrodów; herb Drya u dołu nie koniecznie dobrze zrobiony familii Modlibogów; herb Pomian familii Hebdów spokrewnionych z Modlibogami, i ostatni herb Skarzyna albo Wejcher familii Wejcherów, inaczéj znowu namalowany niż go ma Niesiecki. Wizerunek ten ojca astronoma raz tylko był litografowany w Krakowie w litografii Piotra Wyszkowskiego i zamieszczony w Pamiętniku Krakowskim z roku 1850 w Tomie 1-m zeszycie 3-m.

Szczegóły życia ojca astronoma, o ile się zebrać dało, odnoszą się tylko do aktów urzędowych, w których występuje od roku 1458 do 1483 w Toruniu, Krakowie, Gdańsku. Data śmierci jego niepewna, według wszelkich jednakże badań, umarł około roku 1484.

Drugi wizerunek, który zamieszczamy, jest portretem astronoma według sztychu znakomitego naszego rytownika Jeremiasza Falka.

Główne szczegóły z życia astronoma znane są wszystkim; szczegóły mniéj znane nie mięjsce tu byśmy obszernie przytaczali. Spisaliśmy je i źródłowo i wyczerpująco w życiorysie Kopernika, który w czwartém stuleciu przyjścia na świat tego wielkiego męża drukiem ogłoszony będzie. Dodamy tu jednakże co nie powinno wychodzić z pamięci naszéj, że Mikołaj Kopernik był synem obywatela toruńskiego, przedtém Krakowianina, którego familia od pradziadów mieszkała w Krakowie, a prapradziadów gniazdem była także szczero-polska ziemia Szlązk, wieś Kopernik. Matka astronoma była z familii Mazurów pruskich, zrodzona przez Polkę z Modlibogów Katarzynę. Wuj Kopernika, późniejszy biskup warmiński, opiekun astronoma od dziesiątego roku sieroctwa jego, był największy antagonista Niemców, a najwierniejszy obywatel i najprzywiązańszy do tronu senator Rzeczypospolitéj. Po odebraniu domowego wychowania, ukończeniu szkół w Chełmnie, Kopernik słuchał nauk w akademii krakowskiéj, a następnie na uniwersytecie padewskim, gdzie sam wyznał jakiego jest rodu, zapisując swe imię w album bursy polskiéj. Jako kanonik warmiński, listem króla Zygmunta I z dnia 4 Września 1537 razem z trzema innymi przedstawiony był jako kandydat na biskupstwo warmińskie. Kiedy pierwszy egzemplarz jego nieśmiertelnego dzieła *O obrotach ciał niebieskich* przywieziono mu z norymberskiéj drukarni, lodowatą już tylko ręką dotknął się owocu pracy swéj i oddał Bogu ducha dnia 21 Maja 1543 r.

Trzeci wizerunek, który obok podajemy, jest wiernym przerysem z fotografii Zonera, zdjętéj z żyjącego, a ostatniego z familii Koperników, Wojciecha Kopernoga. Posądzenia o mistyfikacyę lub naciąganie przedmiotu unikając, wizerunek ten objaśnimy rzetelnie i szczegółowo.

Zbierając od dawna z różnych stron możliwe materyały dotyczące życiorysu Kopernika, śledząc najdrobniejsze szczegóły i wzmianki najmniejsze rozsiane po pismach i manuskryptach, znalazłem notatę ś. p. biskupa Ludwika Łętowskiego i drugą podobną ś. p. Adryana Krzyżanowskiego, że w dobrach pabianickich należących do kapituły krakowskiéj, we wsi mianowicie Łaskowicach, w XVII wieku mieszkała familia Koperników. Znalazłem dalej list jakiegoś doktora Solskiego z roku 1820, w którym donosi: że jako członek komissyi superrewizyjnéj, z pułkownikiem Radkiewiczem i komisarzem wojskowym Gerillem, będąc w Pabianicach w miesiącu Lipcu 1820 roku, miał sobie przedstawionego popisowego do służby wojskowéj, Wojciecha Kopernika syna gospodarza ze wsi Łaskowice. „Wójt gminy i sołtys, zapytani przez prezydującego, jak dawno rodzina Koperników w téj wsi zamieszkuje, odpowiedzieli, że od wieków, od bardzo niepamiętnych czasów." „Dodam tu jeszcze, pisze daléj dr. Solski, że widziany przezemnie popisowy Kopernik miał takie same rysy twarzy, jakie widziałem na portrecie astronoma w Krakowie".

Te trzy notaty zestawiając z sobą, uprosiwszy księdza proboszcza z Pabianic o przepatrzenie akt kościelnych i wyszukanie w nich familii Koperników, miałem tę błogą pociechę, że szanowny ksiądz Roman Szlosman, proboszcz pabianicki, w obszernéj korrespondencyi zamieszczonéj w roku zeszłym w „Przeglądzie Katolickim" warszawskim, wymienia sześćdziesięciu z imienia i nazwiska Koperników zamieszkałych we wsi Łaskowice od XVII wieku aż do dni dzisiejszych, a przeprowadziwszy imiona Koperników podług ksiąg kościelnych przez 7 pokoleń, doszedł do ostatniego dziś żyjącego Wojciecha Kopernoga alias Kopernika. Na tym Wojciechu gaśnie zupełnie w Łaskowicach familia Koperników—żyjący bowiem Wojciech Kopernik jest wdowcem, ma lat 73 i nie zostawia potomka linii męzkiéj. Ciekawą korrespondencyę o Kopernikach zakończa ksiądz Szlosman temi słowy: „Wojciech Kopernóg, zapytany przezemnie w obec kilku ludzi, czy pamięta ojca a może i dziadka swego, nie wiedząc w jakim celu pytam go o to, odrzekł, że znał dobrze dziadka swego, już miał z górą lat 20 kiedy dziadek umarł. Tenże dziadek Marek opowiadał często, że w Toruniu urodził się, zamieszkał i umarł Kopernóg z ich familii, który był człowiekiem uczonym i znanym w świecie. (Oczywiście mówił tu o astronomie Mikołaju Koperniku). I w końcu dodał, że dziadek jego Marek oświadczył to dzieciom i wnukom, że to od ojca i dziadka swego słyszał."

Z tych szczegółów podanych przez księdza Szlosmana, wyprowadziwszy wnioski:

1. że notaty księdza Łętowskiego i Krzyżanowskiego były prawdziwe;
2. że wiadomość Doktora Solskiego dziwnie przypada na owego Wojciecha Kopernika;
3. że kościelne dokumenta nie podejrzanéj pewności przez półtrzecia sta lat nieprzerwanie mieszczą imiona rodziny Koperników zamieszkałéj w Polsce;
4. że tradycya familijna przechowana w rodzinie Koperników, aż do dziś żyjącego Wojciecha, ważnym jest dowodem tyczącym się narodowości polskiéj astronoma;
5. że nazwisko to, aczkolwiek pisane raz Kopernik, indziéj Kopernok lub Kopernóg, zawsze znaczyło jedną i tę samą rodzinę;
6. że żyjący Kopernik ma podobne rysy twarzy do ojca astronoma i do samego Kopernika,— zważywszy to wszystko, nie wahaliśmy się wystarawszy się o fotografię żyjącego ostatniego potomka z linii męzkiéj z famili Koperników w Polsce zamieszkałych, dać wizerunek dla porównania z wizerunkiem ojca astronoma i samego astronoma Mikołaja Kopernika.

Ks. Ignacy Polkowski.

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 40*).

W drugim końcu pokoju, między dwoma łóżkami przedzielonemi wązkim odstępem, mieściła się kolebka, dziś—pusta, niegdyś—pełna szczebiotu i gwaru dziecinnego. Zielona jéj powłoczka umalowana od szyb kolorowém światłem zdawała się poruszać lekko. Można było mniemać, że lada chwila odsunie ją bieluchna rączka i radosna główka dziecięcia wejrzy na matkę. Cichy smutek w atmosferze tego pokoiku. Liście wglądającéj przez okno akacyi, rysowały się ciemno na podłodze, a poruszane wiatrem, ustępowały migotliwie światłu i wracały napowrót. Przy drzwiach była mała statuetka z kropielnicą pod spodem przedstawiająca anioła chrztu, z wyciągniętemi jakby do błogosławieństwa rękoma. W chwili o której mówimy, głowa anioła w blaskach kolorowych jaśniała jakby łagodną gloryą słodyczy, niewinności i spokoju. Zresztą cichość była w pokoikach wielka. Ile dziś smutku, tyle tam dawniéj bywało wesela. Cóż to za radość i szczebiotanie bywało gdy Potkański przyszedłszy wieczorem, zmęczony pracą, jedną ręką obejmował kibić żony, drugą odgarniając jéj złote włosy całował to ukochane a pogodne naówczas czoło! Ile było cichéj a głębokiéj radości kiedy stali tak milczący, z piersią na piersiach z oczyma w oczach podobni do posągu miłości. Potém bywało, biegli do kolebki, gdzie dziecina gwarzyła na różne sposoby z sobą i podnosząc nóżki śmiała się do szczęśliwych rodziców. Teraz tam było pusto. Dziwnie była rozrzewniająca ta kolebka. Zdawało się że tam jest dziecię. Nieraz wdowa, wkrótce po swojem nieszczęściu, budząc się w nocy, kładła ostrożnie rękę w tę kolebkę, w przekonaniu, że Bóg musiał zlitować się nad nią, i wyjąwszy dziecię z grobu włożył je tam napowrót.

Słowem dużo widziały te ściany: radość kołysaną szczęściem pogodnéj miłości, potém rozpacz, łzy wielkie jak perły wreszcie smutek cichy, martwy uporny, obłędny.

Taka była i takie budziła myśli sypialnia wdowy. Salonik jak wszystkie na świecie, miał niby trochę elegancyi, dużo pustki. I tam zdawały się błądzić echa chwil przeszłych—był widny, czysty ale pospolity. Przytykało do niego mieszkanie służącéj—mała ciemna alkowa z wyjściem na schody z przepierzeniem drewnianém. Było to dawne mieszkanie Potkańskiego. Po jego śmierci trudno było zrozumieć zkąd wystarczały fundusze na taką siedzibę, to jednak należało do Gustawa, on sam wiedział co robił. Pretensyj ze strony właściciela nie było żadnych—jak zaś to tam się robiło potém powiemy.

Ile razy Gustaw wchodził do owego pokoiku —drżał.

W miejscu gdzie jéj było pełno wszędzie, gdzie wszystko co nie było nią, było dla niéj, uczuwał zawsze rodzaj ciężaru na piersiach; niby jakaś ręka wgniatała mu serce głębiéj. Ciśnienie to jednak było rozkoszne. Było to zbieranie się w sobie piersi jakby dla uchwycenia tém więcéj powietrza. Być ugniecionym dłonią poczucia szczęścia, to prawie być szczęśliwym; tylko że poza tém leży cały bezbrzeżny obszar pragnienia. Rozlewa się wtedy ono na całego człowieka, wchodzi w krew, objawia się w drżeniu słów w blasku źrenic. Pragnienie owo samo nie wie czego żąda, a jednak żąda. Między za mało i za dużo nie masz tam granicy. Jest to wstydliwe żądanie wszystkiego. Bywa wtedy człowiek śmielszy na zewnątrz jak na wewnątrz; przerażają go własne słowa; zdaje mu się że ktoś inny mówi—streszcza się w spojrzeniu, chce się rozśmiać spazmatycznie albo wybuchnąć łkaniem. Kocha, czci—ubóztwia kobietę jak anioła, a anioła pragnie jako kobiety.

Tego doświadczał Gustaw, gdy wchodził do pokoiku wdowy. Wszystkie rodzaje pragnień, jakie duch i krew razem wytworzyć mogą, nalatywały wtedy nań zewsząd niby stada ptastwa.

Ona stała przed nim.

Wyglądała blado, na policzkach jéj przebijał się lekki ślad rumieńca, lub może odblask wieczoru. Delikatny jéj profil rysował się milcząco jak sylwetka na tle okna. Trzymała w ręku grzebień, i stojąc przed małém zwierciadłem srebrném, czesała włosy. Przepyszne rozpuszczone sploty, wiły się niby fale koło jéj bladego czoła. Złoto owo ściekało po jéj piersiach i plecach, zdawało się kapać jak rozpuszczony bursztyn.

Spostrzegłszy Gustawa, powitała go dłonią i ledwo dostrzeżonym uśmiechem.

Wdowa już była wyszła z dawnéj swéj skamieniałości. Nagłe a gwałtowne wstrząśnienie, jakie widok Szwarca na niéj wywołał, ocuciło ją. Poczęła myśleć. Jednéj tylko rzeczy nie mogła z początku rozwiązać: postać Szwarca tak w jéj umyśle plątała się z postacią Potkańskiego, że sama nie wiedziała czy mąż jéj dawny nazywał się Szwarc czy Potkański. Były to resztki obłędu. Ale wkrótce wrócił promień światła w ów pokryty ciemnią umysł. Prosiła Gustawa by mogła widywać Szwarca—Gustaw lubo z niechęcią zgodził się na to. Z tęsknotą wyczekiwała wieczoru kiedy mogła oglądać to dawne wspomnienie szczęścia. Nie Szwarca, ale owego wspomnienia w nim szukała. Był jednak dla niéj koniecznym.

Zwolna też i bardzo nieznacznie przeszłość zmieniała się na teraźniejszość, marzenie na rzeczywistość. Szwarc spostrzegszy to przyrzekł Gustawowi nie bywać; przygotować i oznajmić tę wieść Helenie należało do Gustawa.

Łatwo było przewidzieć jakie wrażenie musiało to na niéj wywrzeć. Klasnęła w dłonie i odrzuciła w tył głowę. Potok włosów z szelestem okrył jéj plecy. Pobladła.

— Gdzie ja go zobaczę? pytała natarczywie Gustawa.

Ten milczał.

— Ja muszę go widzieć, tu czy gdziekolwiek. On tak podobny do Kazimierza... Boże mój! Panie Gustawie, czym mało jeszcze cierpiała? Ja cała żyję... tém wspomnieniem. Panie Gustawie...

Gustaw milczał.

Oburzał go niemal ten ślepy egoizm wdowy. Dramat poczynał się w nim rozgrywać na nowo. Ona go prosiła, by zrobił wszystko dla podkopania własnego szczęścia. Nic!—na to trzeba być głupcem. Ale znowu—to ona prosiła. Przyciął wargi do krwi i milczał. Przecież i jemu należy się coś od życia. Wszystko co w nim składało człowieka, opierało się jéj prośbom z rozpaczliwą energią—ona tymczasem nagliła:

— Panie Gustawie nie opuszczaj mnie, boś ty mi jeden został na świecie. Ty potrafisz to zrobić żebym ja go widziała. Ja go chcę widzieć! Dla czego mi wyrządzasz taką krzywdę?!

Gustawowi pot zimny okrył czoło,—przeciągnął gorączkowo ręce po twarzy i ponurym niskim głosem odpowiedział:

— Ja pani nie krzywdzę... ale... (tu głos mu zadrżał zrobił nadludzkie wysilenie żeby jéj nie paść do nóg i nie krzyknąć: „ale kocham ciebie! nie dręcz mnie!")... ale on tu nie zechce przyjść kończył zaledwie dosłyszalnie.

Dużoby dał, gdyby mógł umrzeć w téj chwili.

Helena zakryła twarz rękoma i padła na fotel.

Milczenie panowało znów przez chwilę i słychać było szmer liści za oknem... a tu dusza człowiecza wiła się w walce z sobą. Sprowadzać Szwarca po to by mu odebrał Helenę—było to dla Gustawa już wyuzdanie nieszczęścia.

Ale walka krótko trwała: ukląkł przy Potkańskiéj i cisnąc jéj rękę do ust, mówił przerywanym głosem:

— Zrobię co będę mógł... Przyjdzie tu!.. Co komu do mnie?.. Przyjdzie ale nie mogę powiedzieć kiedy... ja sam go przyprowadzę.

Wkrótce potém wychodząc z mieszkania wdowy mruczał przez zaciśnięte zęby:

— Tak... przyjdzie! ale nie ja go przyprowadzę... przyjdzie... za miesiąc... za dwa... Za miesiąc może już będę spokojny.

Napad kaszlu przerwał mu dalsze rozmyślania. Długi czas błąkał się jeszcze po ulicach; kiedy wrócił do domu, na wieży kościelnéj wybiła druga.

Szwarc już spał... Oddychał równo, spokojnie... Światło lampy padało mu na wyniosłe czoło i odkryte piersi... Gustaw wpatrzył się w owe piersi gorączkowo.

Oczy błyszczały mu nienawiścią.

Przesiedział tak z godzinę,—nagle drgnął...

Oprzytomniał.

Budziło się w nim uczucie zupełnie sprzeczne z tém czego doświadczał dotychczas. Uczuł że był głodny. Przeszedł więc ku półkom, na których leżały książki; i wydobywszy z nich kawał razowego chleba począł go jeść skwapliwie.

Od dwóch dni nie miał nic w ustach.

IV.

Nadchodziła jesień. Zimno było po mieszkaniach biedniejszych studentów. Jaki taki owinąwszy się kołdrą i włożywszy czapkę na głowę rozgrzewał się książką. Mieszkania studentów którzy mieli za co palić w piecu, roiły się mnóztwem kolegów. Do klubu nie schodzono się więcéj. Były z początku usiłowania żeby obrać i sformować jakiś inny, ale spełzło to na niczém, bo z jednéj strony Gustaw z drugiéj Szwarc, który był już miał znaczny wpływ między studentami, opierali się temu zgodnie. Szczególniéj Szwarc który uważał że kluby dużo zabierają czasu a mało pożytku przynoszą chciał zaprowadzić reformę w tym względzie i udało mu się nakoniec. Mimo wszelkich głosów przeciwnych bronił téj myśli w uniwersytecie a szczególniéj w mieszkaniu Wasilkiewicza, gdzie schodzono się ochotniéj niż gdzieindziéj. Wasilkiewicz mieszkał u Karwowskiego, a raczéj ten ostatni u Wasilkiewicza, bo jakkowiek Karwowski majętny bardzo (był to ów blady młodzieniec, który grywał kolegom w klubie) opłacał daleko znaczniejszą część mieszkania, duszą jednak i osią owego kawalerskiego gospodarstwa, był nasz Żmujdzin.

Godna była podziwu a nawet zazdrości przyjaźń między tymi dwoma młodymi ludźmi. Jeden delikatny, pieszczony, piękny z głową pełną

najszlachetniéjszych marzeń, łagodny i lubiony od wszystkich płynął lekko przez życie wśród wygód i dostatków—drugi, prawdziwy Litwin brzydki dziobaty z krótko strzyżoną czupryną i iskrzącemi oczyma, żywy pracowity, energiczny a głęboko wykształcony, był dla pierwszego jakby opiekunem lub starszym bratem. Wasilkiewicz posiadał serce gorące i jakto mówią niby na dłoni. Gdy Karwowski raz zachorował niebezpiecznie, pilnował go dniem i nocą z prawdziwie bezprzykładném zaparciem się siebie, a gdy wreszcie wyzdrowiał—Litwin płakał i wymyślał mu z radości. „Ach ty błaźnie! mówił:—jemu to zachciało się chorować!—Sprobuj-no tylko jeszcze raz to zrobić!" Studenci nazywali ich dobraném stadłem; dziad stary ślepiec ukraiński żebrzący nie daleko ich domu, któremu często dawali jałmużnę mawiał o nich: „dobry panyczi."

(*d. c. n.*)

ZARYSY EGIPTU.



GROBOWCE MAHOMETAŃSKIE.

GENEZIS

KOMEDYI DZISIEJSZÉJ.

Dalszy ciąg. (*Ob. N. 40*).

A gdzież mamy pójść, kiedy patrzeć na człowieka, ażeby zbadać i poznać właściwą jego naturę? Nie wtedy zapewne, kiedy on chodzi w masce konwencyonalizmu: od tego właśnie jest komedya ażeby pozrzucała wszystkie maski. Nie pójdziemy szukać go na tem polu, gdzie on w przybranéj roli pozuje przed drugiémi i częstokroć przestaje być sobą, albo zatraca istotę własną w jednym celu do którego chwilowo a gwałtownie dąży. Jeżeli widzimy rzemieślnika w warsztacie, mówcę na trybunie, dyplomatę w gabinecie, wodza na polu bitwy, elegantkę w salonie; możemy sądzić i oceniać rzemieślnika, mówcę, dyplomatę, wodza, elegantkę; ale z naszego sądu i ocenienia nie wyjdzie jeszcze człowiek.—Człowiek w całkowitym swym psychicznym ustroju zbadanym i pojętym, może być tylko u *siebie*, w domu, w życiu prywatnem, rodzinnem, śród spraw codziennych, co chwila usposobienia jego odsłaniających. Tam on nie trzyma na straży nieodstępnéj baczności, która mu towarzyszy przy wielkich wystąpieniach; tam on ustawicznie się zdradza, wydaje wszystkie duszy swéj tajemnice, wszystkie cnoty i nędze moralne, wszystkie oryginalności swego charakteru. Ten tylko, kto oprócz wysokiego daru obserwacyi i artystycznego talentu, ma częste i wszechstronne obycie się z ludźmi, może być dobrym komedyopisarzem. I ta tylko komedya, jak doświadczenie dwudziestu wieków pokazało, posiada wartość trwałą i niespożytą, która z pochwytanych tajemnic prywatnego życia indywiduów przyszła do utworzenia typów ogólnych, charakterów zbiorowych, w jednostce skoncentrowanych.

Dlaczego nie utrzymała się forma komedyi *dawnéj* ani komedyi *średniéj*? Dlatego właśnie że komedya dawna szukała człowieka tylko w życiu publicznem, zboczeń jego tylko w takich okolicznościach których odbicie pada na sprawy państwowe. Życie zaś publiczne, arena sprawy chwilowych, bieżących, gdzie występują pretensye i stronnictwa, ścieśniała dziedzinę sztuki dramatycznéj, która całkowicie prawie poświęciła się względom miejscowym, i z konieczności zaniedbać musiała względy wspólne ludzkości całéj. Trzeba było całego geniuszu Arystofana, ażeby utwór komiczny wznieść ponad prosty pamflet, przeżyć kwestye polityczne wynikłe i zgasłe razem z wojną Peloponezką, z walkami i namiętnościami demokracyi Ateńskiéj: a mimo całego nawet geniuszu, Arystofanes jest dziś sfinksem. Komedya średnia zbliżyła się wprawdzie do życia prywatnego; ale częścią nadużyła typów i allegoryi, częścią ograniczyła swe spostrzeżenia na ułamkowych stronach społeczeństwa.

Dopiero komedya nowa wyprowadziła na scenę wewnętrzne życie całéj społeczności i samego człowieka. Pierwsi, Menander i Filemon, pojęli i stworzyli charaktery komiczne, takie jakie w następstwie pojętemi i odtwarzanemi były we wszystkich literaturach. Im należy się chluba otwarcia drogi po któréj z powodzeniem i tryumfem poszła daléj wielka komedya. Jakkolwiek bowiem zredukowali oni badania swe do życia prywatnego, co napozór zdaje się uszczupleniem skali, w gruncie oni ją rozszerzyli. Wgłębienie się w życie prywatne człowieka jest jedyną podstawą do poznania go w jego istocie i bynajmniéj nie wyłącza śledzenia go we wszystkich dalszych sferach; przeciwnie, służy za wskazówkę do zrozumienia jego chęci i działań na innem polu. W życiu tylko prywatnem charaktery poruszają się swobodnie i we właściwem świetle przedstawiają jakiemi są wielkie czy małe, lękliwe i głupie równie jak śmiałe i zdolne.

Tam się jasno zarysowują wszystkie stopnie hierarchii społecznéj, od pana do sługi, od bogacza do żebraka. Tam panuje język powszedni, tam obyczaje kraju przedstawiają się w szczegółach najciekawszych, z otwartą poufałością. Tam nadewszystko jaśnieją stosunki rodzinne, najnaturalniejsze i najmniéj zmienne ze wszystkich na świecie: rodzice surowi lub słabi, miłość młodzieży, rozterki domowe, synowie marnotrawni, szczwane sługi jednocześnie okradający ojca na rzecz syna a syna na rzecz swoją;—i osoby te po wszystkie czasy gromadziły się i gromadzą około ogniska domowego. Tam też znajdzie obfitość przedmiotów i wzory osobistości poeta, który pragnie wystawić na scenie sprawy i wiekuiste uczucia ludzkiego serca, i takiego to poetę zrozumie, oceni i ukocha ludzkość każdego wieku.

Poeci też nowéj komedyi greckiéj, dlatego nabyli tak wielkiego rozgłosu już w starożytności, a przez pośrednictwo Plauta i Terencyusza wywarli taki wpływ na komedyę nowożytną, że oni pierwsi wzięli sobie za metodę stałą i jedyną, obrazowanie l u d z k o ś c i wszystkich czasów i zarazem społeczeństwa sobie współczesnego, w j e d n o s t k a c h przez się stworzonych, a właściwym i oryginalnym oznamionowanych charakterem.

W jaki sposób, pod artystycznym względem, doprowadzili oni do skutku założenie swoje i trafność swych obserwacyi, tego sami przez się zapewnić nie możemy, bo nie mamy przed oczyma żadnéj figury w całości, wnosimy tylko po okruchach, czasami po garści prochu. Powszechny jednak rozgłos nadzwyczajnie przemawia za twórczością tych p o e t ó w, szczególniéj za Menandrem, z czego możnaby sądzić że poeta ten był równie znakomitym artystą jak myślicielem.

Z ułamków, które niczem innem nie są, tylko wyjątkami z dyalogów lub monologów, niepodobieństwem jest odbudować charakter; prędzéj do tego przyczynić się może odnalezienie całkowitego plonu komedyi, których kilka podaliśmy wyżéj, a w każdym razie, że Menander na głównym planie twórczości swéj miał *charaktery*, wskazują istotnie tytuły jego dzieł, których przechowało się wiele. Tytuły te wyobrażają bardzo często albo jaką wadę duszy, albo śmieszność, albo jakąś szczególną odrębność, czasami nawet dodatnią, np. *Bohater*; kto wie tylko czy ta ostatnia nazwanie jest użytą w znaczeniu ironicznem, chociaż dwa okruchy tego utworu wykazują raczéj nastrój poważny, jak: „Słuszna jest ażeby człowiek cnotliwy był najszlachetniejszym, a człowiek wolny posiadał zawsze uczucia najwznioślejsze". Lecz, jakąkolwiek była artystyczna wartość psychicznych obrazów Menandra, to pewna iż droga wskazana przez niego stała się odtąd szerokim i, rzec można, jedynym dla komedyi wyższéj gościńcem; musiała więc mieć coś, co było powszechnie ponętnem, przekonywającem. Po nim uczęszczali w ślad zaraz poeci rzymscy, a po długiéj przerwie czasu, zbudzona komiczna Muza nie na innéj ukazała się drodze. Zteki Moliera znowu wychodzą tytuły oznaczające charaktery, najzacniejsze talenta idą za Molierem; i dziś nawet, pomimo że element komicznego dramatu rozpadł się na różne promienie, zawsze jeszcze usiłowania z mniejszem lub większem powodzeniem, zwrócone są ku tworzeniu typów w tem przekonaniu, że taki tylko odcisk umysłu twórczego na tle miejscowem i czasowem, ale złożony z pierwiastków wspólnych wszystkim miejscom i czasom, ma w sobie najwięcéj żywotności i zadatków wiecznego trwania.

I rzeczywiście, zastanówmy się tylko nad tem co w komedyi mamy najczęściéj przed własnemi oczyma: porównajmy dwa dzieła które zarówno bawią, rozweselają i śmieszą publikę polską, gdy są przedstawiane na scenie: *Geldhaba* z *Jowialskim*. Są to także dwa tytuły charakterystyczne, tylko nie dwa *charaktery*, w znaczeniu ścisłem, obejmującem zarazem serce i umysł. Pierwszy wyobraża całkowitego człowieka, rdzeń jego duszy, indywidualność, to czem on jest właściwie, za co zdać musi sprawę przed światem, przed bliźniemi, przed własnem sumieniem, przed Bogiem. Drugi przedstawia tylko pewien podrzędny, choć wyrazisty przymiot umysłu. *Geldhab*, to ograniczony i nieokrzesany pyszałek, do reszty ogłupiony dziwacznym kaprysem fortuny która uczyniła go bogaczem. Majątkiem porównany z najbardziéj błyszczącemi rodami, całą usilność wkłada w to ażeby zrównać się z niemi dostojeństwem socyalnem, czyli jak to mówią, choruje na arystokracyę. Śmieszność ta dochodzi w nim do namiętności, która wyczerpuje go całego. Przebija się ona we wszystkich jego stosunkach, z córką, z przyjaciołmi i nieprzyjaciołmi, z obojętnémi, z dostawcami, ze służbą; jéj poświęca on szczęście dziecka własnego, pacząc wychowanie i pojęcia o życiu swéj jedynaczki i czyniąc ją równie śmieszną jak sam; namiętność ta wreszcie pozbawia go resztek godności osobistéj, czyni uniżonym tam, gdzie inny, lepiéj patrzący na rzeczy, mógłby stać bardzo wysoko. Pomimo błyszczącéj powierzchowności, Geldhab jest brudnym i nikczemnym wewnątrz, nizkim i suchego serca człowiekiem, gotowym dla próżności sypać kupami złota, a odmawiającym grosza tam, gdzie bez nieuczciwości odmówić nie można i wydać trzeba bez rozgłosu. Cały słowem ten złocony strój jaki go przyodziewa, wygląda na nim jak angielski szor na wieprzu. Ten kontrast czyni go śmiesznym, ta namiętność czyni go pewnem zjawiskiem moralnem, które tak dzielnie uchwycone w panoramiczny umysł Fredry, stworzyło typ nędznéj próżności odbijający się w swoich charakterystycznych cechach powtarzających się wszędzie i zawsze gdziekolwiek był i jest człowiek. Szczegóły mogą tu być różne, zasada, tak jak natura ludzka ze swemi ułomnościami, pozostanie tą samą. Wieki też przejdą; formy artystyczne, wymagania sceniczne, gusta publiczne, zmienić się mogą; ale *Geldhab* pozostanie jako jedna z kreacyi która zawsze budzić będzie wrażenie prawdy ludzkiéj, do któréj każdy późniejszy poeta polski chętnie będzie przyrównywał swoje dzieło, z zapytaniem czy w niem jest tyle téj prawdy ile być powinno, ażeby ten charakter człowieka uczynić prawdziwym. Inaczéj rzecz się ma z *Jowialskim*, bawi on wprawdzie humorem swym, krotochwilą, k o n c e p t e m, i czas jakiś bawić jeszcze może, tak jak bawiły także czas jakiś ludność grecką koncepta Arystofana, — nie przymierzając. Ale, jeżeli w czem to w elemencie zabawności, gust jest nadzwyczaj zmiennym. Tam tylko koncept nigdy nie przestaje czynić silnego na umyśle wrażenia gdzie on spleciony jest w jedność z pewnym czynnikiem moralnym, i obrazowym swym zwrotem targa zarazem u c z u c i e, tak jak w bajce lub satyrze Krasickiego. Nikt z nas zapewne nigdy nie oprze się uśmiechowi na ustach przy wymówieniu przez kogoś: „wiesz dla czego dzwon głośny?"... i t. p. Ale dowcip bez wysokich czynników moralnych wietrzeje z czasem i blaknie, jak kielich kwiatu wystawiony na długi przewiew czasu. Jest to niezaprzeczonem, że dowcip im bliższy jest nas, im jest bardzéj okolicznościowym, im więcéj *à propos*, tem silniejsze czyni wrażenie. Dowcipnie wypowiedziane słówko chwytać trzeba al fresco; — jak minie, trudno już zestawić te wszystkie okoliczności jakie mu towarzyszyły: jeżeli jest istotnie dowcipnem, znać to po niem będzie nawet przy powtórzeniu, ale siła wrażenia już się nie powtórzy. Ojcowie nasi śmieli się śmiechem głośnym z konceptów *Momusa*, my dziś czytamy to z przyjemnością może, ale bez uśmiechu. Otóż *Jowialski*, jako komedya jest tylko przedłużonym konceptem, farsą, któréj nie zbywa na dowcipie, ale zbywa na czynniku moralnym, i dla tego, przy pewnéj zmianie gustu i okoliczności, straci ona tę wartość jaką miała, kiedy zbliżenie czyniło woń dowcipu jéj silniejszą a kolor jaskrawszym, i nikt w przyszłości wzoru, sprawdzenia, porównania szukać w niéj nie będzie. Jowialski nie jest charakterem, tylko przymiotem;—nie mówimy tu wyłącznie o saméj osobie tytułowéj, ale o całéj barwie komedyi, któréj treść wreszcie jest dosyć pustą. (*d. c. n.*)



Gustaw wpatrzył się w niego gorączkowo. (str. 381).

Illustracya Henryka Pillatego do powieści.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Na Dziś, pismo zbiorowe, poświęcone literaturze, naukom, sztuce, gospodarstwu krajowemu, handlowi i przemysłowi. Tom I. Kraków 1872, str. 446.

Dokończenie.. (Ob. Nr. 40).

Obecnie na górnym Szlązku (w Prussiech) wychodzą dwa czasopisma tygodniowe: „Zwiastun górno-szlązki" i „Katolik." Oprócz Lompy najpłodniejszym wydawcą na Górnym Szlązku jest Nowacki w Mikułowie. Wydania Nowackiego (powieści i modlitewniki) są bardzo tanie, gdyż sam autor jest zarazem drukarzem i nakładcą. Równie czynnym nakładcą jest pan Heneczek. Ks. Stabik oprócz „Podróży do Włoch," wydał kilka dzieł religijnéj treści. P. Rostalski, nauczyciel seminaryum, nauczyciel ew. w Kluczborku, wydał kilka powieści z życia królów pruskich. Szlązk posiada także i swoich poetów. W roku 1867 wyszły w Chełmnie poezye Czesława Lubieńskiego (pseudonym) „Wianek pieśni górnoszlązkich;" poeta wysławia piękności swéj ziemi. Nareszcie Karol Miarka napisał kilka powieści i wiele broszur politycznych. W pracach jego przebija się wszędzie najzacniejsza dążność i miłość ludu.

Chłopek szlązki, według zdania ks. Mastalskiego, ma serce poczciwe i proste, pracuje wytrwale; a choć w prowadzeniu gospodarstwa i w całém swém otoczeniu trzyma się prastarych przesądów i zwyczajów, moralnością przewyższa przybyszów z niższego Szlązka, których ściągają tu zarobki przy fabrykach.

P. M. zupełnie się rozminął z założeniem swojéj podróży, przynajmniéj „w Listach," o których mowa. Pełne zkądinąd zajmujących szczegółów, nie zawierają ani jednego słowa o gwarach ludowych, a bardzo mało o ubiorach, zwyczajach, bajkach i t. d. Pośpieszamy atoli zastrzedz, że autor zapowiada oddzielną pracę, któréj przedmiotem ma być gramatyczne przedstawienie właściwości języka ludowego na Szlązku, z dołączeniem powieści i pieśni miejscowych. Z obrzędowych zwyczajów zastanawia zauważany przez autora w Michałkowicach zwyczaj wkładania na głowy nowożeńców małych wianków mirtowych, które ksiądz przekłada z jednéj głowy na drugą, nie zamieniając wcale obrączek. Przypomina to użycie koron u Słowian obrządku wschodniego. W Radzionkowicach zachowała się stara uroczystość wiosenna, zwana „maik" czyli „gaik." Do zajmującego opisu jéj autor dołączył śpiewaną przytém pieśń, brzmiącą najczystszą polszczyzną.

P. M. napotykał wiele trudności na drodze swych badań. „Wielu nie mogło pojąć, jakto taki słuszny człowiek włóczy się po kraju, aby zbierać bajki." Przypisujemy to niedoświadczeniu początkującego etnografa. Do ludu nie można przystępować z doraźném wezwaniem: „otwórz mi swoje piersi," a umieć należy wywoływać jéj głosy tajemne i pochwytywać w lot natchnienia jéj wytryski.

Żałujemy że p. M. ogłosił wypadki swojéj podróży w kształcie listów, a raczéj dziennika wrażeń, często sprzecznych. Należało wrażenia te uporządkować, streścić i oświecić ogólniejszym poglądem. Pomimo zarzut ten, wysoko cenimy pracę pana M. i z najlepszą otuchą oczekujemy zapowiedzianego dzieła, w którém powyższe usterki łatwo usunięte być mogą.

Resztę artykułów „Na Dziś" możemy pozbyć krótkiemi wzmiankami. Wykład publiczny Dra Gustawa Roszkowskiego „o kommunizmie i socyalizmie" (uzupełniony niejako wielce ryzykownemi twierdzeniami D-ra Machalskiego o „Stowarzyszeniu międzynarodowém") jest obroną własności za pomocą argumentów znanych każdemu, komu nie obce są elementarne pojęcia ekonomii politycznéj. Wykład rozpada się na trzy części: filozoficzną, historyczną i krytyczną. Dwie krańcowe są względnie słabe... Tak np. autor powiada, że postęp ludzkości jest walką wszystkich pierwiastków i potęg—złych i dobrych—wchodzących w skład jéj organizacyi, czyli „wszechstronnym ich rozwojem". Określenie to jest bardzo niedokładne. Doprowadzając je do ostatecznych wyników, można byłoby twierdzić, że takie społeczeństwo byłoby najbardziéj postępowém, w którem obok Tomasza à Kempis znalazłby się Traupmanm, obok Rafaela Rappo i t. d. W innem miejscu Dr. R. utrzymuje, że na tle pojęć o istocie człowieka i jego najwyższych zadaniach wznosi się gmach religijnych wyobrażeń, że każda religia zjawia się na gruncie filozoficznych idei. Dotychczas, nierównie słuszniéj upatrywano odwrotny stosunek pomiędzy religią i filozofią, pomiędzy wiarą i wiedzą. Gdzieindziéj czytamy, że społeczne kwestye są zawsze następstwem *rozwiązania* wielkich religijnych i politycznych pytań (może rozwiązywania?); że kommunizm i socyalizm są wpływem dwóch systematów filozoficznych, materyalizmu i panteizmu; że pierwszy z nich obudził chęć *używania bez pracy* (szczególniejsze zmieszanie pojęć dwóch sfer odrębnych!). Wstępując na pole historyczne, autor stawia już kroki pewniejsze. Spodziewaliśmy się atoli, że obok argumentów Thiersa i całéj szkoły ortodoksalno - ekonomicznéj znajdziemy w odczycie D-ra R. jakiekolwiek wskazówki do rozwiązania zadań, zbrojnych powagą faktycznego istnienia... Nadzieja ta nas zawiodła.

Wielce obiecujący jest początek artykułu p. Sadowskiego p. t. „Drogi handlu zbożowego". Autor odróżnia na przestrzeniach Europy dwa obszary, z których jeden spożywa cały zapas swego zboża, a okazujący się niedobór sprowadza z za granicy; drugiemu zaś po zaspokojeniu wszystkich potrzeb miejscowych, zostaje jeszcze znaczny zapas przeznaczony na wywóz za granicę. Po zakreśleniu granic obszaru wywozowego wschodniéj Europy i po sprowadzeniu do właściwéj miary współzawodnictwa grożącego mu ze strony zbóż amerykańskich, autor odbywa przegląd drugiego obszaru, odznaczającego się trwałym popytem na zboże zagraniczne. Do téj kategoryi należą: Anglia, Francya, Szwajcarya, po części Skandynawia i Włochy, a w razie pojawiającego się nieurodzaju prowincye Nadreńskie, Saksonia i inne pomniejsze obszary Niemiec. Główny wschodnio-europejski obszar przeważnéj produkcyi zbożowéj rozpada się geograficznie na trzy mniejsze obszary: baltycki, czarnomorski i zakarpacki. Na końcu autor wskazuje niebezpieczeństwo współzawodnictwa zboża węgierskiego dla obszaru czarnomorskiego (Odessy) a nawet baltyckiego, twierdząc, że na zbytnie obniżenie cen naszych wpływają przeważnie brak udoskonalenia systemu transportowego i rozgałęzienie się drobnych spekulacyj handlowych, działających na szkodę kraju. W dalszym ciągu artykułu swojego p. S. obiecuje wyjaśnić: w jaki sposób przez zorganizowanie handlu zbożowego, odpowiadające wymagalnościom wszystkich krzyżujących się stosunków, wpłynąć można na ulepszenie systemu transportowego, uchylenie wszystkich niedogodności handlowych, podniesienie przez to cen miejscowych i zmuszenie współzawodnictwa zboża amerykańskiego do mniéj częstego pojawiania się na targowiskach europejskich.

„Przegląd artystyczny" przez Antoniego Zaleskiego jest nader pobieżném sprawozdaniem o rodzajach i stylach panujących w malarstwie tegoczesném. Pobieżność ta, może rozmyślna acz niezrozumiała dla nas, wyłączała już z góry głębsze estetyczne poglądy. Mielibyśmy także autorowi do zarzucenia bezwarunkowy optymizm i chwalczość względem malarzy krajowych. Nie jest to krytyka, lecz panegiryk.

Chaotyczny i mało nauczający „Przegląd literacki" zawiera króciutkie wzmianki bibliograficzne o dziełach polskich, niemieckich, angielskich i t. d. z r. 1871. Staranniéj opracowany jest dział „Bibliografii polskiéj z r. 1871", któremu przewodniczyła myśl rozmaitych statystycznych zestawień.

Poezyę nader ubogo reprezentują dwa wiersze: „Naprzód — pracą" przez K. Świdzińskiego, i „Nad przepaścią" przez I. Tretiaka. Pierwszy jest odą liryczną wzywającą młodzież do zerwania z mieczem i pieśnią, a chwycenia się pracy:

„...Héj do cyrkla, héj do kielni!
I do wagi, i do pługa!
A choć praca ciężka, długa,
Ale wyjdziem my z niéj dzielni.
Barki nasze się rozrosną,
Serca nasze spotężnieją,
I zdobędziem myśl miłosną
I grunt, co go nie zachwieją,
Ani burze, ani siła,
Bo go praca postawiła".

Poeta zapomina, że i pieśń zasiewa szczęście i zacność w sercach pokoleń całych. Zresztą w czasach „ciężkich i praktycznych" jak nasze, może p. Św. ma słuszność; — przypuszczamy, że i sam po wyśpiewaniu swéj ody wziął się do kielni, albo do wagi...

„Nad przepaścią" jest utworem z każdego względu smutnym. Poeta kocha się w otchłani... leci w nią... na szczęście ocala go brzoza. Och, wielu śpiewakom przydałaby się brzoza...

Korrespondencya z Warszawy jest mniéj więcéj parafrazą artykułów „Niwy", „Przeglądu tygodniowego" i innych „pism młodych", choć szkiełka korespondenta są bardziéj różowe. Pisze on np., że „Banki, handlowy i dyskontowy, Towarzystwo ubezpieczeń, biura tutejszego króla bankierów i przemysłowców, roją się tłumami pracującéj tam wysoko urodzonéj i prawdziwie nieraz wysoko wykształconéj młodzieży. A znajdziecie ich—tych potomków dumnych wojewodów, kasztelanów(?), butnych starostów, panków i pół-panków wszelakiego gatunku i koloru i w fabrykach żelaznych Lilpopa, Ostrowskiego i innych, i w zakładzie Weliaminowa, i w garbarniach na Lesznie, i w niejednym sklepie w środku miasta". Z pewnością Kraków dowiedział się o tém pierwéj od Warszawy.

Poczciwie i wyczerpiejąco jest napisany artykuł Jana ze Śliwina p. t. „Aleksander hr. Przezdziecki". Znajdujemy tam wyliczone wszystkie prace autora i uwydatnione jego zasługi.

Dział kroniki i rozmaitości jest również zasobny.

Nie rozumiemy zamieszczenia w pismie zbiorowém tłomaczonego romansu Spielhagena. Wolelibyśmy artykuły oryginalne podawane w całości a nie w połciach. Romans „Naprzód" nie odznacza się nawet pod względem artystycznym. Jest to północno-niemiecka myśl polityczna przesadzona na grunt powieści. Sam przekład niepoprawny do niezrozumiałości.

Na zakończenie obecnego przeglądu mamy prawo powiedzieć, że pismo „Na Dziś” jest pożądanym nabytkiem dla literatury krajowéj i gorąco zalecić je publiczności. *L. Sowiński.*

KORESPONDENCYA

Paryż 30 Kwietnia.

Wyszło tu niedawno dzieło bardzo ciekawe pod tytułem „*O prawie karania*”. Autorem jego jest sławny gimnastyk dyalektyczny, dawny redaktor dziennika *la Presse* etc. etc. pan Emil de Girardin.

Książka ta musiała go kosztować niemało pracy. Świadczą o tém liczne cytacye historyczne i prawne, któremi jest zapełniona. Tekstu bardzo mało—bo z założenia przechodzi natychmiast autor do zastosowania. Tablica załączona przy dziele jest kommentarzem proponowanéj reformy, a razem wzorem *narzędzia aplikacyi.*

Nim przystąpię do ocenienia tego utworu, wypada mi powiedzieć słów kilka o pisarzu.

Dziwny to jest typ ten Girardin. Nosi on nazwisko francuzkie, a nie ma w sobie nic francuzkiego. Broni niby zawsze prawdy i wolności, a zawsze zamknięty w sferze, do któréj promień dający pełne poczucie prawdy i wolności, nigdy nie dochodzi.

Mówi on ciągle o cywilizacyi, o postępie, a dotąd (mając już z górą lat 60) nie umiał nawet zdać sobie sprawy z tego, co jest prawdziwa cywilizacya. Zamknięty w swoim systemacie czysto-rozumowym, opartym na ślepym materyalizmie, mierzy on ludzkość na łokcie—a jedyny ruch, który zrozumiał, jest ten, którego motorem para i elektryczność.

Od lat 30-tu, a nawet i więcéj, zakochany w tece ministeryalnéj, goni on za nią z młodzieńczym zapałem, i z wytrwałością godną podziwienia. Aby łatwiéj dosięgnąć celu, nawiązał on trzy cięciwy na swoim łuku: *pewną teoryę polityczną*, która mu pozwala godzić się z każdą władzą, jakakolwiek by ona była, i ofiarowywać jéj swoje usługi,—*pewną teoryę ekonomiczną*, zalecającą go na Ministra,—a na ostatek, *dziennik*, za pomocą którego, ciskał w obieg swoje doktryny.

Chcąc mieć sławę literacką, któraby mu dała pewną wypukłość uniwersalnego człowieka, (zawsze w widoku owéj teki, która mu się ciągle wymyka) wskoczył on nawet chwilowo na scenę, aby się pobratać z Molierem, ale zawsze i wszędzie, był tylko Emilem Girardenem. Co się tłómaczy rossyjskiém przysłowiem „Umny Durak”.

Nowe jego dzieło, pod względem nagromadzonych cytacyj historycznych, o karnych kodexach i o nadużyciach jakie wypływały z zastosowania tych praw, może posłużyć niejednemu piszącemu w tym kierunku za materyał do pożytecznéj pracy. Jest to jedyna zaleta tego dzieła.

Obaczmy teraz jak się wywiązał autor ze swego zadania.

Punkt wyjścia w tém dziele charakteryzuje moralną jego stronę, i pisarza.

Głównym argumentem; zaprzeczenie absolutne społeczeństwu prawa karania.

Celem: wprowadzenie nowéj reformy społecznéj, któréj plan towarzyszy dziełu.

Aby się nie błąkać w niepotrzebnych dowodzeniach i nie fałszować tekstu, podaję tu naprzód w dosłownym przekładzie, to co nazwałem w tém dziele „*punktem wyjścia*”. Ustęp ten brzmi jak następuje:

„Obstaję przy tym nieugiętym dilemnacie: albo istnieje Bóg, najwyższy twórca i sędzia—albo nie.—Jeśli ten Bóg istnieje, jakiém prawém społeczeństwo wyprzedza Jego sądy—i na jakim tekscie opiera interpretacyę onych. Jeśli zaś ten Bóg nie istnieje, a zatém, jeśli nie ma moralnie ani złego ani dobrego, a są tylko jedynie materyalne ryzyka; jakiém prawem, społeczeństwo sądzi, potępia i karze członków swoich”?.

Logicznem następstwem tego założenia, musi być koniecznie, stanowcze uznanie, albo stanowcze odrzucenie Boga.

Nie waha się Girardin w wyborze, a wyraża się jak następuje:

„W dniu, w którym uznają ludzie, że nie ma moralnie ani dobrego, ani złego—że są tylko materyalne rezyka—że na jedno wychodzi, być zabitym przez złoczyńcę, lub przez spadającą na głowę dachówkę; w dniu tym nie będą brać cienia za przedmiot — i zastosują do społeczeństwa te same prawidła, których się używa do budowania okrętów mających stawiać czoło burzy—i domów nie lękających się ognia”.

Nie ma w tym wykładzie żadnéj zawiłości—Idzie Girardenowi o to jedynie, aby społeczeństwo przyjęło tę wzniosłą ideę: że wiara, moralność, religia, sumienie są głupstwem. Skoro stanie ono na téj wysokości, wyciągnie z pewnością miłosne ramiona, ku swemu zbawcy Girardenowi, uzna jego kodex za absolutne prawo postępu i da mu ową pożądaną tekę, za którą z potem czoła goni napróżno od lat tylu.

Girardin zaczyna od zniesienia wszystkich kar cielesnych. W tém pochwalam go zupełnie. Zamyka na zawsze wszystkie a wszystkie więzienia, dobrze robi — lękam się tylko, aby ten paragraf w zastosowaniu swojém absolutném nie nabawił go w przyszłości kłopotu, bo nim jakiemu złoczyńcy zaaplikują karę moralną nowego kodeksu, potrzeba go będzie tymczasowie gdzieś pomieścić. — Ale gdzie... niewiadomo... Mniejsza o to—idźmy daléj. Pali gilotynę. Tu muszę go uścisnąć bo istotnie dobrą rzecz zamierza. Wypędza kata!. Całuję go powtórnie. Aby jednak zostawić systemowi swemu potrzebny czas do wejścia w ruch normalny, zachowuje czasowo karę śmierci; do końca tego wieku, t. j. do 1900 r. Rzecz ta może się zdawać naraz niepraktyczną, bo któż się zechce podjąć funkcyi katowskiéj?... może sam Girardin?... Czyż podobna aby filantrop splamił swoje ręce krwią bliźniego. Nie domyślacie się... odsłaniam więc zagadkę. Skazany na śmierć musi być sam swoim katem. Po wysłuchaniu dekretu będzie miał do wyboru: albo śmierć głodową, albo samobójstwo. Poczciwy Girardin postawi przed tym biedakiem na tacy, pistolet nabity, truciznę i nóż. Po uczynionym wyborze — Minister zamyka drzwi na klucz i idzie na obiad. Smacznego apetytu!.

Co do tablicy mającéj zastąpić kodeks karny, rzecz się ma odbywać jak następuje.

Każdy przychodzący na świat, otrzymuje rodzaj karty zwanéj *Wpisem Życia* (inscription de vie). Karta ta, któréj model podaje Girardin w swojéj książce jest tak zredagowana, że jest razem metryką, pasportém, kartą elektorską, świadectwem mienia i kontraktem zabezpieczenia przeciw wszelkim ryzykom. Premia pochodząca z tych zabezpieczeń, które są obrachowane stosunkowo do mniejszych lub większych ryzyk, stanowią dobrowolny podatek.

Nie brakuje nic téj karcie. Strona podatkowa składa się z 12-tu szachownic, na których kontrolla podatkowa daje pokwitowanie, a poz apłaceniu ostatniéj szachownicy, wizowana jest przez podatkowego urzędnika.

Wszystkie przestępstwa i zbrodnie, popełnione przez właściciela *Wpisu życia*, jak równie wynikłe ztąd wyroki sądowe, zamieszczają się w nim regularnie, w datowym porządku faktów; za przestępstwa lub zbrodnie jednego z członków społecznych odpowiada materyalnie rodzina, jeśli ma fundusze, a w razie przeciwnym gmina, (t. j. płaci wszystkie wyrządzone szkody, kradzieże lub sztrafy).

Ponieważ system Girardena znosi więzienia, galery, deportacye,—każdy przestępca lub zbrodniarz, po odczytanym sobie dekrecie udaje się na mieszkanie do rodziny, jeśli ją ma, albo w razie przeciwnym, na miejsce swego urodzenia, pod nadzór Gminy—któréj zadaniem jest ulepszać go moralnie.

Jeśliby jaki kryminalista nie chciał zamieszkać w gminie, ma prawo opuścić kraj. W takim razie, udać się musi na przeznaczone na ten cel miejsce. Jest to rodzaj dobrowolnéj deportacyi. Wpis życia na białym papierze ma oznaczać życie nieskalane. Na żółtym, jest dowodem, że właściciel był już występnym. Na zielonym, że zaczął już wypłacać się za przeszłe wykroczenia życiem przykładném.

Otóż jest ta reforma w pełnéj swojéj całości.

Wpis życia jest myślą oryginalną—a w społeczeństwie prawdziwie chrześciańskiém zupełnie dojrzałym, byłaby ona nawet praktyczną. Ale społeczeństwo takie jeszcze nie istnieje—i wiele upłynie czasu, nim ludzie będą zdolni dźwigać z miłością upadłych bliźnich, a tém więcéj zbrodniarzy. Ale to pewna, że jeśli przyjdą kiedy do téj doskonałości, to nie inaczéj jak przez naśladowanie Chrystusa, który nie przestanie być nigdy drogą, żywotem i prawdą; bo był miłością i poświęceniem.

Co do zasady Girardina, na któréj oparł swój system; nie jest ona rzeczą nową; ale on pierwszy odważył się zamienić ateizm w system. Pierwszy targnął się jawnie na świętą arkę sumienia ludzkiego.

Francuzcy pisarze są w stosunku do swego społeczeństwa, czem jest korkowane wino, do winnic, z których pochodzi. Każdy z nich przedstawia pewną warstwę społeczeństwa, w jéj przekonaniach i dążeniach—jest niejako kwintesencyą jéj ducha. Girardin należy do ich liczby.

Teorya, któréj on naucza: że zamordować bliźniego dla zabrania mu sakiewki, nie jest złą rzeczą, byle tylko zwinąć się tak prędko i zręcznie, aby nie dać się schwytać na gorącym uczynku, dawno już wprowadzona jest w czyn przez galerników. Tylko między nimi byli i są tacy, dla których wspomnienie popełnionéj zbrodni jest żarem sumienia. Co jest już początkiem ekspiacyi i postępu moralnego. Girardin dając z góry absolucyę każdéj zręcznéj zbrodni i wykluczając ze słownika i z duszy ludzkiéj sumienie, staje niżéj od nich, bo jest kusicielem społeczeństwa do smobójstwa moralnego. Lękać się więc należy, żeby książka Girardina nie wpadła w ręce tym biedakom, którym została iskierka sumienia, bo niezawodnie staną się gorszymi niż byli.

Tacy to ludzie kierują tu opinią publiczną.

Nie będę dowodził czem jest sumienie dla człowieka—i czem jest człowiek bez sumienia,—ani też o przewadze namiętności nad rozumém, gdyż byłoby to rzeczą zbyteczną. Ale ponieważ Girardin jest admiratorem Woltera, zakończę moje sprawozdanie cytacyą jego zdania o ateizmie. Może ono posłuży nie jednemu z naszych paniczów *zainteresowanych* i rozprawiających

o Wolterze, którym się zdaje, że są jego uczniami a nigdy go nie czytali.

Oto są słowa Woltera: „Ateusza, szalbierz, potwarca, zbójca, niewdzięcznik, krwiożerca, rozumuje po swojemu; a ile razy pewnym jest uniknięcia kary ludzkiéj, działa zawsze jak rozumuje. Ponieważ dla niego Bóg nie istnieje, ten potwór chce być sam sobie Bogiem. Wszystko czego pragnie, lub co mu zawadza, musi paść jego ofiarą. Najczulsze prośby, najdzrowsze rozumowania, są dla niego tém samém czem by były dla zgłodniałego wilka.

Stowarzyszenie prywatne złożone z ateuszów, którym czas schodzi jedynie na uciechach i rozkoszach cielesnych, może potrwać czas jaki bez zamięszania. Lecz żeby świat miał przejść pod ich zarząd, to już lepiéj być pod bezpośredniém jarzmem samych szatanów.”

Jedną ze świeżuteńkich ciekawości literackich, jest książka Bazena (Bazaine). Pióro w ręku tego smutnie sławnego człowieka stało się kadzielnicą na cześć własnych zasług. Sumienie nic mu nie wyrzuca, nie lęka się on ani wyroku historyi, ani też wyroku Sądu wojennego. To po prostu bohater. Jest jednak w dziele jego frazes, który nowe rzuca światło na tę ponurą sprawę. Powiada on, że dowiedziawszy się o ogłoszeniu Rzeczypospolitéj, powziął myśl, że zadaniem jego armii będzie, *ocalenie społeczeństwa*. Słowa obejdą się bez komentarzy. Autor sam siebie osądził.

Chociaż przekroczyłem już ramki legalne mojéj korespondencyi, muszę jednak powiedzieć słówko o nowym dramacie pod tytułem „Daniel Manin, granym w teatrze du Châtelet, o którym nadmieniłém w ostatniéj mojéj korespondencyi.

Sztuka ta, w któréj obok wzniosłych myśli i błysków uczuć, świszczą bomby; przemówiła żywo do serc francuzkich. Wenecya oblężona, cierpiąca głód i upokorzenie—to obraz oblężonego Paryża! Patryotyzm Manena, jego słowa pełne ognia, i prawdy to wskazówka obowiązków; droga do odwetu. Publiczność zrozumiała tę alluzyę—i zapłaciła autorom hojnemi i serdecznemi oklaskami.

Utwor ten zaleca się dobrą intencyą autorów, wyższym nastrojem ducha, i szczęśliwemi zwrotami, pełnemi serca. Szkoda tylko, że autorowie poświęcili w niektórych miejscach dla effektu scenicznego, prawdę historyczną. Charakter córki Manena sfałszowany podwójnie: zrobili z niéj rodzaj heroiny i dali jéj kochanka Węgra, oficera w służbie austryackiéj. Niewiem dla czego przeżyła ona na scenie ojca.. Wiadomo wszystkim, że wyprzedziła go do grobu. *T. R.*

ZARYSY EGIPTU.

1. Piramidy. — 2. Świątynie i pałace królewskie. — 3. Grobowce mahometańskie. — 4. Lud.

III. GROBOWCE MAHOMETAŃSKIE.

Potrzeba było wielkich przewrotów, nieustannie jeden po drugim następujących, aby dość już wyczerpane wpływem i potęgą Greków pod rządami macedońskiemi siły duchowe i moralne narodu egipskiego ze swéj podniosłéj wyżyny bujania wiarą i umysłem w dziedzinie niedościgłych idealnych sfer zstąpiły na drogę fanatycznego a humanitarnego islamizmu. Pracowali nad tém zboczeniem pojęć i zatraceniem przewodnich idei egipskich z kolei Hyksosowie, Izraelici, Persowie, Grecy, Rzymianie, a nareszcie ostatni Arabowie. Punktem zetknięcia się pojęć religijnych wszystkich tych narodów, a zatém i drogą do łatwiejszego i skuteczniejszego wpływu, była mniéj lub więcéj wydatna u nich wiara w jednego Boga, coraz inaczéj przeżywanego i pod coraz odmiennemi postaciami przed oczy tego narodu stawianego. Mniemać należy, iż islamizm właśnie z powodu czysto oderwanego pojęcia o odwiecznym Allahu, duchu bez ciała, niewyobrażalnym i niewyobrażonym przez mahometan, najsilniéj wkorzenił swoje pojęcia religijne w umysły i serca starych Egipcyan.

Odrzuciwszy całą stronę fantazyjnych dążeń do owładnienia światem za pośrednictwem miecza, wszystkie materyalistyczne uroki obietnic rajskich, w czci jaką muzułmanie oddają cichéj cnocie i poświęceniu dla bliźnich znajdziemy drugi żywioł łatwo dokonywający zdobyczy serca mass narodu.

Muzułmanie wielką czcią otaczają ludzi poświęcających się z czystych pobudek miłości bliźniego dla dobra innych. Nauka Zbawiciela naszego wiele bez wątpienia przyczyniła się do tego, że Mahomet na téj podstawie w części przynajmniéj oparł nową wiarę swoją. Jakkolwiek bądź się to stało dość, że wyznawcy islamu świętymi nazywają i jako takich czcią pośmiertną otaczają ludzi bogobojném i miłosierném odznaczających się życiem; stawiają im grobowce przy drogach lub wodach najbardziéj nawiedzanych, gdzie w bogato ozdobnych cienistych kaplicach rozpomiętywaniu ich cnot oddają się. Jednym z takich grobowców jest przedstawiony na naszéj rycinie poświęcony pamięci uświęconego przez naród dobroczynnego, gościnnego i miłosiernego Szecha Ababde postawiony w Minich.

Budynek ten ma zarys podobny do piramidy egipskiéj, zakończony jednak kopułą, wprawdzie także nieco kończatą, zatém więcéj zbliżoną do piramidy niż do niespełna półkulistego sklepienia czysto azyatyckiego pokroju, jest atoli zupełnym mahometańskiego stylu obrazem, zwłaszcza wewnątrz, gdzie kaplica o oponach ciężkich jedwabnych i okna przewiewne a zupełny brak wyobrażeń człowieka i zwierząt, stanowią zupełnie charakterystyczną różnicę stylu arabskiego od staro-egipskiego.

Dodać tu jeszcze należy, że w stawianiu tych pomników grobowych muzułmanie nie krępują się zupełnie miejscem, na którém życie pędził lub umarł uczczony przez nich święty; idzie im głównie o to, aby czyny dobre uwiecznione były godnie, nie szczędzą więc ofiar dobrowolnych na najpyszniejsze pobudowanie i zdobienie podobnego rodzaju pomników.

ROZMAITOŚCI.

— Od niejakiego czasu głośną się stała Amerykańska roślina przez krajowców w Ecuador, zwana Condurango. Ma to być stanowczy środek leczniczy przeciw strasznéj chorobie raka. Dotychczas przedsiębrane próby i badania nie doprowadziły bynajmniéj lekarzy do stanowczych wypadków, jedni twierdzą, że z pomocą Condurango otrzymali najpomyślniejsze skutki; drudzy utrzymują, że nowo wynaleziony środek leczniczy nie ma żadnego wpływu na przebieg choroby. Ta różność wypadków pochodzi najpewniéj ztąd, że z początku nie znano wcale Conduraugo, nie wiedziano nawet do jakiéj botanicznéj rodziny należyć ona może. Niedawno dopiero doktór Buyon z Guayaquil przekonał się, że Condurango należy do rodziny Eupatoriaceae i rodzaju Mikania Guaca. Nazwa Condurango pochodzi od Kondora, który leczy się jéj liśćmi, ilekroć ulegnie pokąsaniom jadowitych wężów. Zresztą roślina ta rośnie i w Kolumbii, ale tu nazywają ją Guaco. Są jéj trzy odmiany: Zielona, purpurowa i biała. Od dawna roślina ta w środkowéj Ameryce uchodzi za zbawienny środek przeciw wielu chorobom. Doktór Buyon pisze, że Guaca znajduje się w wielkiéj obfitości w Kolumbii, że więc będzie można nowy specyfik sprowadzać ztamtąd daleko mniejszym kosztém niż dotychczas, i łatwiéj przytém uniknąć fałszowania.

— Ostatnie wybory w cesarskiéj akademii nauk w Petersburgu obudziły niezwykły ruch w tamtejszych kołach literackich. Po śmierci historyka Ustryałowa od roku już przeszło opróżnione było jedno z miejsc w akademii. Kandydatami doń byli profesorowie Kostomarow i Sołowiew, tymczasem na przedwstępnych wyborach w sekcyi historyczno-filozoficznej wybrano pana Pypina. Wedle ustawy akademii wybory takie odbywają się tajemnie, a kandydat musi być wybrany jednomyślnie. Inaczej albo wybór poddaje się pod rozprawy, albo nowego kandydata się wybiera. Tym razem tajemnicy nie zachowano i przed stanowczemi wyborami wszczęły się żwane rozprawy i manewra stronnicze. Pan Pypin znany jest z licznych dzieł, z których ostatnie mianowicie „Duch społeczny pod panowaniem Cesarza Alexandra I,“ obudziło ogólne zajęcie. Ponieważ jednak p. Pypin należy do redakcyi pisma „Wiestnik Ewropy“ i popierał w nim system wychowania realny wbrew wprowadzeniu klassycznemu, narobił sobie zatem wielu nieprzyjaciół nawet w prassie. Pomimo to na wyborach p. Pypin otrzymał 25 głosów przeciwko 9. Niewiadomo jednak dotychczas czy wybór ten uzyska zatwierdzenie.

— Spaskie powiatowe ziemstwo postanowiło wyjednać u władzy wyższéj zaprowadzenia w swym powiecie przymusowego wychowania, oraz udzielenia osobom umiejącym czytać i pisać pewnych ulg w służbie wojskowéj.

— J. R. Reynold wydał po Angielsku „System medycyny“ w trzech tomach, streszczający w sobie cały obecny stan umiejętności lekarskich. Dzieło to ma kierunek praktyczny. Uczeni angielscy zalecają je tym szczególniéj, którzy pragnęliby w pierwszych chwilach choroby przed przybyciem lekarza przedsiębrać zapobiegające środki, również jak lekarzom, którzy dla braku czasu niepotrafili utrzymać się zawsze na poziomie spółczesnym wiedzy lekarskiéj.

Treść: Mikołaj Kopernik, przez ks. Polkowskiego. — Na Marne, szkic powieściowy Henryka Sienkiewicza (c. d.) — Genezis komedyi dzisiejszéj, Kaz. Kaszewskiego (c. d.) — Przegląd literacki Sowińskiego (dokończenie). — Korespondencya z Paryża. — Zarysy Egiptu. — Rozmaitości. — **Ryciny:** Mikołaj Kopernik. — Grobowce Mahometańskie. — Rycina do powieści. —

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 8 (20) Мая 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

W Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.